120

Cudzoziemiec ciekawy.

w Warszawie około 1796

I

PŁywaiąc po rozlicznych świata tego kraiach,
Podeymuiąc niewczaſy po krzewiſtych Gaiach.
Widząc rożne nieſzczęścia y Morzem y lądem,
Pod przeciwnym Niebieſkich Luminarzow rządem.
Kiedy iaſny dzień zginął, po Słońca zachodzie,
Mieſiąc przy wielkiey tracił iaſność niepogodzie.
A kiedy zas cokolwiek Słońce przyświeciło,
Podczas ciemney pamroki Gwiazdy widać było.
Było na co poglądać, przy weſołey chwili,
Gdy łaſkawi Bogowie zdrowia użyczyli.

Będąc ciekawym, w ktore udałem się kraie?
Zazwyczay podrożnemu, wszędzie drogi staie.
Z Krolewstwa do Krolewstwa swe kieruiąc kroki,
Rządząc myślami memi, dość Boskie wyroki.
Nie żal mi, bom zlustrował, ledwo nie świat cały,
Tu y owdzie, poki mi siły wystarczały.
Serca mi przyrastało, widząc rzeczy rożne,
Czasem było y ciężko na nogi podrożne.
Widząc Zamki, y Miasta, y śliczne Fortece,
Na Wyspach wystawione, inne Rarytece.
Woyska dosyć bitnego, co zachciały myśli,
Że tego ręka moia nigdy nie okryśli.
Widząc piękny porządek ludzi w rożnym stanie,
Jak Panowie, tak sludzy, poddani, y Panie.

Zyią

Zyią ſobie przyſtoynie pod wielkim rygorem,
Idąc Anteceſſorow ſtarodawnych torem.
Krolowie rządzą ludem, a Panowie Radą
Bawią ſię, y nikomu nie ſtoią ze zdradą.
Inni ſwoiey pilnuią codziennie roboty,
W rożnym kroiu zoſtaiąc, y nie iedney cnoty;
Każdy ſwemu Krolowi według Praw podległy,
Jako Pan tak y chudak, y w naukach biegły.
Chociaż w wielkiey niewoli, lecz żyią w roſkoſzy
Skromnie, pięknie, poczciwie, według ſwoich groſzy.
Jak w Mieście tak y na Wſi że nikt nie prożnuie,
Każdy ciężko nie lekko na ſiebie pracuie.
Jako ten co ma dzieci, tak też bezpotomny,
Dama, Wdowa, Kawaler, Wdowiec, każdy ſkromny.

 Gdziem

Gdziem tylko oka mego porzucił zrzenice,
Czyli to na poddanych, czyli na Dziedzice.
Czyli Chłop, czyli Szlachcic, każdy iest ſpokoyny,
Pilak pod wartą ſiedzi, a prożniak do woyny,
Gdziem ſię tylko obrocił, wſzędy boiaźń Boża,
Skromność, miłość, poczciwość kwitnie iako roża.
Y o ſzczerość nie trudno, w naygorſzey przygodzie,
Jeſt ſię czemu przypatrzyć y w grubym Narodzie.
Kiedy mi ſię zaś w onych Kraiach uprzykrzyło,
Bo ſię oko wſzelakich rzeczy napatrzyło.
Aura ſię odmieniła, zdrowiu nie ſłużąca,
Myśl człowieka uwodząc wſzędzie plondruiąca.
Udałem ſię w oſtatku do Polſkiego Kraiu,
Słyſząc, że tam roſkoſzno, niemal iako w Raiu.

Czyta

Czytaiąc, iże w Polſzcze wielka
Wolność kwitnie,
Każdy ieſt Pachoł dobry y mały ſię wytnie.
Wolno czynić, co tylko komu
ſię podoba,
Jak duża tak y mała ieſt wolna Oſoba.
Iż tam chleba doſtatkiem, przeieść go niemożna,
Kto ciekawy niech idzie, łatwo tego dozna.
Co większa, że do naſzych Kralow go dodaią,
Złota, Srebra dobrego za niego doſtaią.
Także rożnych Materyi, Sukna, y korzeni,
Kto ſię tylko po wodzie z nim płynąć nie leni.
Bo w Polſzcze Rzemieślnikow, takowych nie maią,
Lecz ſię na Materyałach wſzelkich dobrze znaią.
Tam bydła ieſt doſtatkiem wſzędzie w okolicy
Lud bogaty, kto tylko przy Polſzcze dziedziczy.

Mały

Mały Kray, ale Zboża ieſt zado-
ſyć wſzędzie,
Urodzi ſię, gdzie tylko Ziarno
w ziemi będzie.
Szczegulnie tylko wino w Pol-
ſzcze ſię nie rodzi,
Bo mu Polak, tak iako Węgrzyn
nie dogodzi.
Czytam daley, iże Lud ieſt bar-
dzo dorodny,
Opływaią we wſzyſtko, maią
czas ſwobodny.
Maią Miaſta rozliczne, Fortece
wſpaniałe,
Murami opaſane, drugie w twar-
dą ſkałe.
Pałace, Kamienice, nieſzpetną
ſtrukturą,
Bardzo weſoło patrzać w ſtronę
lada-ktorą.
Tam zadoſyć Kościołow ieſt na
Chwałę Bożą
W tamtym Kraiu, ſami ſię Ka-
tolicy mnożą.
Inſzych Wiar bardzo w Polſzcze
znayduie ſię mało,
Żydow tylko z rożnych ſtron do
niey ſię natkało.

Czytam

Czytam daley, aże mnie z tego oczy bolą,
Daię pokoy, iuż w reſzcie, pod nię ſwoią wolą.
Wędruiąc, aż przychodzę nad ſamę Granicę,
Widzę Miaſta, Miaſteczka y Wſie w okolice
Myślę ſobie, czyli też puſzczą mnie Zołnierze,
Obawiam ſię potrochu, powiadam to ſzczerze.
Alić żadnego nie maſz, wielce ſię raduię,
Przechod wolny, Patentow, ani pokazuię.
Widzę Lud rozmaity, przechodzę Powiaty,
Zielenieią ſię pola, pokazuią kwiaty.
Słońce grzeie, y iaſna ſłuży mi pogoda,
Zadna mi ſię nie ſtaie zła w drodze przygoda.
Gdzie ſpoyźrzę, to weſoło wſzędzie rzucam okiem,
Idąc ſobie powolnym bez napaści krokiem.

W krotce

Wkrotce tedy przychodzę w śrzodek Polſki, Kraiu,
Zdrowie dobre ſprzyia mi pod czas Wiosny w Maju.
Lokuię ſię u Chłopa w podłey bardzo chacie,
Mowiąc do niego: byway łaſkaw na mnie Bracie.
Rozeznany Goſpodarz, przyimuie mnie mile,
Niebronięć miły Oycze, wſzak masz mieyſca tyle.
Dobrzem trafił, ponieważ Chłopek nie ubogi,
Nie ze wſzyſtkim, gdyż w tenczas padł przednowek drogi.
Nie tracę ſobie iednak bynaymniey nadzieie.
Gdyż mi ſię przy ſtaruſzku dobrym nie źle dzieie.
Nie tęſkno mnie mieſzkaiąc przy Warſzawſkim trakcie,
Przypatruię ſię rożnym ludziom też y Szlachcie.
Przeieżdzaią Panowie, przeieżdzaią Panie,
Ieſt ſię czemu przypatrzyć, ledwo oczow ſtanie.

Myślę

Myślę sobie, co za Swiat iest
Polski bogaty,
Kiedy się tu Panowie w takie
stroią szaty
Laufer ieden y drugi przed Ka.
retą bieży
Lokaie za Karetą nie w szpe-
tney odzieży
Poszosno y bogato, czynią swe
Parady,
Muszą to ci Panowie zasiadać do
rady.
Kalwakaty potroyno, w tak prze-
pyszne konie,
Nie widziałem parady takiey w
żadney stronie.
Bierze mnie chęć, aż idę do sa-
mey Warszawy,
Więcey Panow zobaczyć, tam bę-
dąc ciekawy.
Przychodzę, zaraz wchodzę w
Krolewskie Pałace,
Wrota wszędzie otwarte, nigdzie
nie kołacę.
Tylko Warty w około przy Pa-
łacach stoią,
Dworzanie się na koniach tu y
owdzie roią.

Kareta

Kareta za Karetą bardzo ſzybko idzie,
Umykay! ſtoy! wołaią, aż z Karety wyidzie.
Czuby złote y ſrebrne na Rumakach ſtoią,
Każdy ſię prezentuie z Kalwakatą ſwoią.
Rzędy od złota ſrebra na Koniach ſię świecą,
Stangreci wykrącaiąc, biczmi konie ćwiczą.
Mowię ſobie, nie trzeba Tureckiego Kraiu,
Zyiści ſię, com był czytał, iże tu iak w Raiu.
Jeſt ſię czemu przypatrzyć, że ſię, y ieść niechce,
Na co ſpoyźrzyſz, nie trzeba tego ważyć lekce.
Aż ſię pytam ciekawie w Rynku Mieſzczanina,
Zkąd takiego tym Panom bogactwa przyczyna?
Ten mi tak odpowiada: o moy miły Panie,
Na te wſzyſtkie porządki y dobr ich nie ſtanie.

Na

Na ktorych Wyderkaffow, Kapitałow wiele,
Zaciągnionych u Szlachty nie w iednym Kościele.
Od ktorych co rok zawſze Prowizye płacą,
Na to też to Panowie ſwoie włości tracą.
Albo to na tym doſyć, gdybyście widzieli,
A u ktorego Pana w Pałacu ſiedzieli.
Zobaczyli, iakie to odprawuią bale,
Zdziwićby ſię wam przyſzło nad tym wſzyſtkim wcale.
Na potrawy przepyſzne, przedziwnie ſię ſadzą,
Na Piramidy doſyć pieniędzy wydadzą.
Nie maſz czaſu y mowić, bo iuż milczeć wolę,
Ptaſzego tylko mleka nie maią na ſtole.
Na tychci to paradach ich życie zawiſło.
Na bankietach, chociażby Wieś utracić przyſzło.

Tak

Tak to tu u nas w Polſzcze wiernosc mieyſca nie ma,
Poddany tylko trochę Panow ſwoich trzyma.
Onić to tylko zawſze w Paradę dufaią,
Kielichami codziennie po ſtołach pukaią.
Nie dbaią nic, aby im teraz dobrze było,
Choćby ſię wſzyſtko wino od Węgrow wypiło.
Na kości y na karty Subſtancye tracą,
Czaſem ledwo Dworzanom ſwoim ſię wypłacą.
Zaciągaią Summ wielkich, to na Dobra ſwoie,
Za to to miły Panie ſprawuią te ſtroie.
A drudzy też Dworzanie za ſwoy groſz im ſłużą,
Dla Honoru, y ci ſię częſtokroć zadłużą.
Gdybym wam chciał powiedzieć wſzyſtko, czaſu na to
Trzebaby bardzo wiele, nieſtałoby za to.

Płyną

Płyną słowa owemu z gęby Człowiekowi,
Uważam wszystko pilno, co mi tylko powie.
Idę tedy nie bawiąc do swoiey Kwatery,
Dowiedziawszy się prawdy pod Ratuszem szczerey.
Idę iednak ciekawy w Krakowską Ulicę,
Widzę Domy, nie iednę piękną Kamienicę.
Widzę y Senatorskie wspaniałe Pałace,
Rożnie sobie w swey głowie (za co to) tłomaczę.
Pytam się też pewnego, proszę mi wybaczyć,
Jaką też te Pałace mogą summę znaczyć.
Zkąd Panowie tuteysi tyle Fortun maią,
Na takowe Fabryki, że im wystarczaią.
O moy Panie iacyście teżto bardzo dziwni,
Y takowymże rzeczom nad innych przeciwni.

Maią

Maią Panowie Dobra bardzo wielkie wſzędzie,
A gdy te ſą, to dochod iak nayświękſzy będzie.
Maią ſwoich Poddanych, ktorzy na nich robią,
Za podatki to od nich te Pałace zdobią.
Kommiſſarze też coraz intrat przyczyniaią,
Chcąc ſię Panom przychlebić z Ludzi wyciągaią
Bez ſumnienia, bo drugi ſwoy dobytek ſprzeda,
Będąc bardzo karanym, gdy podatku nieda.
Pieniędzy zaciągaią dla Panow u Szlachty,
Choćby przyſzło do Miaſta, y wſzelkiey Wſi ſtraty.
Coż za bieda ieſt Panom, iedzą dobrze piią,
Baluią, bankietuią, a brzuchy im tyią.
Wyſpią ſię, wyleżą ſię, przy wielkiey wygodzie,
A Chłopow robiąc na nich, wielka bieda bodzie.

Proſzę

Prośzę was miły Panie, a one
 też Dworki,
Mieśzczanom iak też na nie wy-
 śtarczaią worki.
Kamienice tak piękne śobie wy-
 śtawiaią,
W Cudzych Kraiach nie bardzo
 tego wśzyścy znaią.
Moy Panie wieleby tu o tym
 mowić trzeba,
Dobrze, że takich Ludzi cho-
 waią y Nieba.
Jedni śię handlem bawią, a dru-
 dzy Kramarzą,
Inni zaś trunki robią, kiedy
 im śię zdarzą.
Drudzy zaś przy Krolewśkim
 mieśzczą śię też Dworze,
To im łatwo Fortuna w tymże
 dopomoże.
Kupcy, wiele w towarach ludzi
 ośzukuią,
Drudzy na trunkach, bo im za-
 robki śmakuią.
Rzemieślnikom roboty Ludzie
 płacą drogo,
O takowych nie trudno, bo ich
 tu ieśt mnogo.

Drudzy

Drudzy ciężko nie lekko pracu-
ią dla grosza,
Na takie Kamienice nie żałuią
trzosa.
Inni iakom powiadał, z krzywdą
bez sumnienia,
Łatwo tedy mogą przyiść do
dobrego mienia.
Bo co warto dwa grosze, to trze-
ba dać cztery,
Taki to tu Lud w Polszcze iest
u nas nieszczery.
A ci iacy Panowie, co idą pie-
chotą?
Pytam się go, a on mi powia-
da z ochotą.
Albo to zaś Panowie, tylko Rze-
mieślnicy,
Szewcy, Krawcy, Kuśnierze, y
też Cukiernicy.
Y rożney kondycyi, znayduią
się Ludzie,
A iakże im moy Panie tak się
stroić uydzie?
Jak możecie rozeznać między
niemi Pana,
Pierwszą modę tu widzę taką u
Szatana.

Jak

Jak Pan, tak y Rzemieślnik w tychże ſukniach chodzi,
Jaka to tu ieſt ſprawa; iże ſię im godzi.
Taki zwyczay ieſt u nas, y przypowieść w Polſzcze;
Wolno chodzić w czym kto ma; y iak tylko zechce.
Przypatrzywſzy ſię rożnym rzeczom przy Warſzawie,
Panom, Szlachcie, Mieſzczanom; wſzyſtkim Ludziom prawie.
Przykrzy mi ſię iuż w iednym mieyſcu długo ſiedzieć,
Idę daley, więcey ſię po Polſzcze dowiedzieć:
Przechodzę ſię po rożnych Miaſtach okolicznie,
W iednych, widzę, ieſt brzydko; w drugich bardzo ślicznie.
Nie teſchno mnie, bo Ludzi wſzędzie bardzo wiele;
Jaki taki do Miaſta przyieżdża w Niedzielę:
Jedni w ſzynkownych domach; w kubku BOGA chwalą;
Jedni ſobie krzykaią; drudzy Tytoń palą.

Drudzy zaś w Rynku swoie o-
twieraią kramy,
Chłopy, Szlachta, y rożne prze-
chodzą się Damy.
Niedługo potym idę z Rynku
do Kościoła,
Gdzie Ludzi mało widzę pogłą-
dam do koła.
Jedni swoy czas klęczący na ko-
lanach trawią,
Panowie się zaś w ławkach dy-
skursami bawią.
Rozpieraią się iako Pogańscy Bo-
gowie,
Jeden drugiemu coraz, co do
ucha powie.
Przed Paniami też Xiążki leżą
rozłożone,
Jedna drugiey pokłony daie uni-
żone.
Gadaią, całuią się, iedna dru-
gą wita,
A żadna z nich podczas Mszy na
Xiążkach nie czyta.
Y Dama iaka taka, czyni swe
grymasy,
Prostuie się, wyciąga, gdyby ią
brał w prasy.

Jaki

Jaki taki raz sobie swych sukien poprawi,
Pogląda na każdego, kto się tylko ziawi.
Dworzanie też przy ławkach stoią za Paniami,
Y ci także bawią się rożnemi mowami.
Jeden drugiego wita, tabaką częstuie,
Gdzie ktora Dama siedzi, palcem ią skazuie.
Drudzy się sztafiruią, wąsy sobie kręcą,
Smieią się, ani modlą, ani też y klęczą.
Jaki taki palcami piorka z ramion zrzuca,
Dmuchaiąc po Kościele, wszędzie okiem rzuca.
Pasa sobie poprawia, coraz kręci piętą:
Boki sobie podpiera; a z miną nadętą:
Zaden Paciorkow nie ma; ani Xiążki w ręce;
Pilno na nich poglądam; iakoby na tęcze;

Niedługo Kaznodzieia wchodzi
na Ambonę,
Ci z Kościoła wychodzą, każdy
w inną ſtronę.
Ja też za niemi zaraz niedługo
wychodzę,
Ludziom Polſkim pobożnym dzi-
wuiąc ſię ſrodze.
Idę w Rynek, aż ſię tu iaki ta-
ki tacza,
Upiwſzy ſię, mnie ſię czas do
goſpody ſkraca.
Poſpieſzam odpocząwſzy, wybie-
ram ſię w drogę,
Takowego zwyczaiu gdy ścier-
pieć nie mogę.
Wychodzę z Miaſta proſto, go-
ścieńcem ubitym,
Potykam ſię z Człowiekiem od
Krakowa przytym.
Ktory będąc Kramarzem, dzwiga
ſwe towary,
Człek wzroſtu nie małego, y nie
bardzo ſtary.
Zabieram z nim znaiomość, i-
dziem oba w parze,
Noc nas ciemna nadchodzi, przy-
świecaią zarze.

Idziem

Idziem do Austeryi, o nocleg prosiemy,
Gospodarza, gdzie śpiewki, Muzykę słyszemy.
Ludzi w izbie iak napchał, każdy iest wesoły,
Poszliśmy na spoczynek oba do stodoły.
Mowię tedy do swego Kolegi te słowa:
Daleko ztąd może być do Miasta Krakowa?
Dwadzieścia mil moy Panie, podobno y cztery,
Czyli y pięć, tak iakoś, nie wiem prawdy szczery.
Kolega na pytanie tak mi odpowiada,
Widząc mnie ciekawego, czyli czego bada.
Dla czego się moy Panie tak pilno pytacie?
Czyli tam Pokrewnego w ktorym mieyscu macie.
Nie mam w Polszcze nikogo, bom z niey nie iest rodem,
Zyczyłbym sobie tam być, za iędnym zawodem.

Gdyż

Gdyż słyszałem, że Miasto mą
być bardzo śliczne,
W nim Kościoły, Klasztory, znay-
duią się liczne.
Prawda Miasto Stołeczne, zowie
się Koronne,
Nad Wisłą w Mury, Baszty, iest
bardzo obronne.
Nie dokończam dyskursu, z Kol-
legą Kramarzem,
Nadstawiam dobrze ucha, aż tu
iednym razem
W Austeryi Chałasy, lament nie
słychany,
Ledwo się nie przewrocą y z bu-
dynkiem ściany.
Chłopstwo się bez uwagi bile, y
kaliczy,
Jaki taki, bil, zabil, nie uwa-
żay, krzyczy.
Dworaczkowie ze Dworu okna
wycinaią,
Chłopi w izbie pałkami do nich
wywiiaią.
Na stoły powchodziwszy, te pod
niemi trzeszczą,
Baby, niby szalone, razem gwał-
tu wrzeszczą.

Jaki

Jaki taki na gorę, na ſtrych, y po dachu
Ucieka, ledwo żyie od wielkiego ſtrachu.
Y nam także przychodzi, umykać ſię w pole,
Nie bardzo dowierzaiąc w pobliſkiey ſtodole.
Mowię ſwemu Koledze, co tu za Kray dziwy,
Jeſzczem tego nie widział, iakem tylko żywy.
On powiada, tak to tu w Polſzcze u nas Panie,
Czaſem ſię niewinnemu, przy winnym doſtanie.
Wolność wſzelka, kary paſz, chleb nas bardzo bodzie,
Nie raz ſię to przypatrzy, człowiek tey przygodzie.
Gdybyście to moy Panie byli na Jarmarku.
Nieſtałoby wam pewnie y głowy na karku.
Tam ſię to Chłopi na śmierć czaſem zgroza biią,
Gdy ſię pod czas Jarmarku gorzałką popiią.

Co

Co więkſza, że y Szlachta iak
ſię wezmą rąbać,
Przyſzłoby wam uciekać, ani ſię
oglądać.
Chociaż ktory Chłop pałki nie
będzie miał z Domu,
Znaydzie ſpoſob, podkulek wyr-
wie z Wozu komu.
Alić ſię wſzyſtko ziści, co ow
Człek powiada,
Bośmy przyſzli na Jarmark, gdzie
nie ieden biada.
Wielki ſię tumult wſzczyna, nie-
zmierne chałaſy,
Nie ieden załby chodzi, nie ie-
den za paſy.
Chłop Szlachcicowi burczy, ro-
żne mowi ſłowa.
A ten rąbie, kaleczy, aże boli
głowa.
Mieſzczanie ſię z Dardami, ze
wſząd uwiiaią,
Szlachta co-raz to więcey ſza-
bel dobywaią.
Zydzi Kramarze, ſwoie zbiera-
ią Towary,
Nie maſz, ktoby przyczynił bun-
townikom kary.

Konca,

Końca, początku niemaſz, a coż za swiat taki,
Ni Zołnierza, ni czego, zwyczay ladaiaki.
Jedni ſzturmem do domow wybiiaią wrota,
Bii, zabii, nie pardonuy czyia ieſt ochota.
Ranią ſię, zabiiaią, że patrzeć ſromota,
Ci w pola umykaią, a inni na błota.
Rozumiem, iż ſądny dzień na ow czas naſtaie,
Jeden drugiemu drąga y pałek dodaie.
Bodayże taka wolność, tę pierwſzy raz widzę,
Człek obcy na to patrząc, a przecie ſię wſtydzę.
Idę z Miaſta niewiedząc, co ſię daley ſtało,
Gdzie ieſzcze mnoſtwo ludu bić ſię nie przeſtało.
Rożne mi myśli w drodze przychodzą do głowy,
Widziawſzy na Jarmarku porządek takowy.

W kilka

W kilka dni potym ſtawam w Seymikowym Mieście,
Nie ſmucę ſię, kiedy mi ſłuży zdrowie, ſzczęście.
Wchodzę w Rynek, gdzie Szlachty ieſt zadoſyć wszędzie.
Myślę, co ſię tu za akt odprawować będzie?
Aż ſłyſzę, iże Szlachta Seymik odprawuie,
Nie ieden ſię po Mieście ſzaſta, y gachuie,
Z ciekawością też wchodzę do iednego Domu,
Wolny przyſtęp, ani ſię opowiadam komu.
Idę do Izby, Szlachty ieſt doſyć za ſtołem,
Jedzą, piią, co kto ma, dyſkurſuią ſpołem.
Jako Pan, tak y ſługa ſtoi ze ſzklenicą,
Nalewaią im wina, zdrowia ſobie życzą.
Dyſtynkcyi nic nie maſz, każdy ſobie rowny,
Panie Bracie pii do mnie, iakeś Pachoł głowny.

Idę

Idę bardziey ciekawy do inney
Goſpody,
Zobaczyć, czyli y tam o pra-
wuią gody.
Alić Szlachcic Szlachcica iak ſię
Waść maſz wita,
Bierze Flaſzkę ze ſtołu, ni ſię
kogo pyta.
Pije do niego, mowiąc: bądź
zdrow Panie Bracie,
Nie zważa, za Panie Brat, cho-
ciaż w podłey ſzacie.
Jaki taki przychodzi, do ſtołu
ſię ſpina,
Niechże y ia ſkoſztuię tutey-
ſzego wina.
Jaki taki na bakier ma czapkę
na głowie,
Jeden drugiego pyta, iak ſię
WP. n. zowie.
Ktorzy ſię na manierze bardzo
dobrze znaią,
Godnego ſą Imienia, Panom cho-
nor daią.
A ktorzy zaś proſtego będąc ro-
zeznania,
Wiele gada, przewodzi, ni ſię
komu kłania.

Mos-Pania.

Mos-Panie Kaſztelanie chceſzli
być Marſzałkiem?
Stawiay wina, chociażby y z całym antałkiem.
Ow też iako Pan możny dla
ſwego honoru,
Zapraſza ich czymprędzey do
ſwoiego Dworu.
Stawia wina beczkami, za ſtoł
ich zaſadza,
Choćby naypodleyſzemu we
wſzyſtkiem dogadza.
Jeść, pić daie, podchlebia, ſolennie częſtuie,
Chcąc być Posłem, ſpoſoby rożne wynayduie.
Jeſt ſię czemu przypatrzyć, nie
ieden weſoły,
Nie ieden upiwſzy ſię, umarły
na poły.
Jaki taki wywiia ſzablą na podcieniu,
Napaść daie, chociażby przyſzło
ku zginieniu.
Brat Szlachcic, Brat Kolega, chociaż obſzarpany,
Nie uważa, ciśnie ſię, rowno między Pany.

Nie

Nie ma nawet Urzędnik dla siebie honoru,
Za panie-brat z Szlachcicem Kucharz ode Dworu
Myślę sobie, iaka tu między Szlachtą sprawa,
Zamiast do rady zasiąść, przy Flaszce zabawa.
Drobna Szlachta u Panow w wielkiey appransyi,
Ktorzy do nich nie mało maią pretensyi.
Jaki taki się Panu o dług upomina,
Nie masz tu WPan mieysca, ząb za ząb się ścina.
Chałasu iest zadosyć, y wielkiey niezgody,
Do ktorey tylko zayzrzysz przy Mieście Gospody.
Czas nadchodzi, ledwo też idą do Kościoła,
Zasiadaią Panowie za stołem do koła.
Inna zaś pospolitość, tu y owdzie stoi,
Ten y ow przechodząc się, minę sobie stroi.

Nie iak

Nie iak w Kościele, ale w Żydowskiey Bożnicy,
O tym y owym radzą, szelest czynią wszyscy.
Jedni Posłow, Marszałka drudzy obieraią,
A drudzy zaś na niego ani pozwalaią.
Każdy o głos uprasza, według swoiey woli,
Jeden prawdę powiada, drugi stryże, goli.
Jedni trzeźwi, drudzy zaś y nad to piiani,
Z drugiey strony nie ieden zły porządek gani.
Pozwalam! Nie pozwalam! inni mowią śmiele,
Niezgody, przeciwności, znayduie się wiele.
W krotce potym niektorzy szabel dobywaią,
Inni zaś nie czekaiąc nieszczęścia, zmykaią.
Zaniedługo się znowu wszystka Szlachta biie,
Rabie, kaleczy, iaki taki w kąt się kryie.

Kto

Kto możnieyſzy to lepſzy, zła ſię dzieie ſprawa,
Nie ubłaga nikt, bo ſię bitwa wſzczęła żwawa.
W Kościele krwie zadoſyć, wſzędzie ſię rozlewa,
Nie ieden gdy zraniony, ledwo co iuż ziewa.
Jaki taki czymprędzey wſiada na ſwe konie,
Z Kościoła wymknąwſzy ſię, idzie ku ſwey ſtronie.
Jedni ich wielkim pędem z Pałaſzami gonią,
Inni piwa żwarzywſzy, nieſzczęścia ſię chronią.
Jeden z drugiego ſuknią, z pianego zdziera,
Wierzyć temu potrzeba, bo ieſt prawda ſzczera.
Mnie czapka, mnie pas zginął, wołaią niektorzy,
Mnie pieniądze ktoś wyiął, niechay mi kto wrożÿ.
Ktory przedtym po Mieście z Fantazyą chodził,
Wnet zginęła, gdy go ktoś w łeb ſzablą ugodził.

Bo-

Bogdaiem nigdy nie był na takim Seymiku!
Woła, ale umyka prędko na koniku.
Drugiby się był odrzekł pić dobrego wina,
Wytrzyźwiwszy się dobrze, bardzo rzadka mina.
Radby się wody napił, gdyby mu iey dali,
Bo go trunek wczorayszy na wątrobie pali.
Owoż masz taki Seymik, taką Polską radę,
Już tu więcey na taką ucztę nie przyiadę.
Jaki taki uieżdża do swoiego Domu;
Nie płaci; (chociaż napił,) za trunek nikomu.
Po Domach z Mieszczanami chałasu nie mało;
Wszystko przepadło, co się gdzie komu dostało.
Myślę sobie, moy BOZE! coż to tu za Ludzie?
Nie w Kościele seymować onym, ale w budzie:

Gdy

Gdy na ſamę Obecność Boſką
nie zważaią;
W Kościele ſię kaleczyć ſtraſznie
odważaią:
Wſzyſtko ſię tu nicpotym dzie-
ie; owo zgoła,
Nawet Ludziom nie przyidzie
chodzić do Kościoła.
Ktory zaraz zoſtaie przy Ex-
komunice;
Trzebaby tę po rozum Szlachtę
za Gran ce.
Umieliby ſię lepiey przy Polſzcze
ſprawować;
Gdyby ich wziął, po plecach la-
gami ſmarować.
Wychodzę tedy z Miaſta po o-
wym rozruchu;
Nic nie mowię, mam tylko wſzyſt-
ko w moim duchu.
Jaſna ſłuży pogoda; wiatr po-
wiewa chłodny;
Kray we wſzyſtko obſity; dla
mnie czas niegłodny:
Po Swiętym Bartłomieiu to ſię
wſzyſtko działo;
Chleba doſyć, owocu ieſt wſzę-
dzie nie ſmało:

Uważam po Wsiach Karczmy mieyscem murowane,
Mieyscem z drzewa, lecz piękną strukturą stawiane.
Austerye obszerne dla Ludzkiey wygody,
Browary, Dwory śliczne, y Włoskie Ogrody.
Officyny, Pałace z Dziedzińcem wspaniałe,
Inne rożnym fasonem Budynki nie małe.
Czy w Mieście, czy w Starostwie, czyli w Szlacheczczyźnie,
Toż samo w Biskupiźnie, iako y w Xiężyźnie.
Wszędzie wesoło spoyźrzeć, Gumna y Stodoły
Chędogie, a mieyscami są puste Kościoły.
Mieyscami spustoszałe bez parkanow stoią,
Przecież się też Panowie y BOGA nie boią.
Po Cmentarzach samopas wszelkie bydło chodzi,
Swinie ryią, czyli się tak pozwalać godzi?

Spoczy-

Spoczywam pod Południe w Karczmie pewnym razem,
Wdaię się co raz w dyskurs powoli z Kaczmarzem.
Pytaiąc się, wiele tu Xięży przy Kościele?
Tylko ieden moy Panie; dość nie bardzo wiele
Taki tu u nas Kościoł bardzo spustoszały,
Gonty tu teraz z niego, iakem szedł, leciały.
Albo to u nas tylko są pustki w Kościele;
Jest tu takich po innych Farach bardzo wiele.
Naszego Xiędza nie stać; bo z nim wielka bieda,
Nikt się też nie dołoży, y pieniędzy nie da.
Przecie muszą tu iacy być Kollatorowie?
Nasz podobno Jegomość Kollator się zowie.
Onciby to powinien poprawiać Kościoła,
Albo inny postawić, kiedy temu zdoła.

Ale on woli ſtawiać Folwarki, Stodoły,
Dwor, Karczmę oporządzać, budować Okoły.
Xiądz dobrowolny Panu nie chce ſię narazić,
Trzebaby ſię z nim kłocić, uſtawicznie ſwarzyć,
Przyſzłoby na to, żeby y Xiędza wyſadził,
Z Plebanii, gdyby z nim o Kościele radził.
Pan ſię Xiędza nie boi, ani Konſyſtorza,
A tu Kościoł puſtkami ſtoi, aże zgroza.
Zayźrzeć ieno do Dworu, iak to tam weſoło,
Lamus y Officyny, Parkany na koło.
A Cmentarz dla pſow, świni przechodnia ulica,
Kościoł puſty, lepſza ieſt u Zydow Bożnica.
Ma Pan groſze na wino, na karty, na kości,
Ma wytworne Robrany dla ſwoiey Jeymości.

A na

A na Kościoł, (tak powie,) nie mam ani groſza,
Trzebabyto moy Xięże nie małego trzoſa.
Zobaczcie Panie, iaki Browar pode Dworem,
Albo Karczmą iąkim ieſt wyſtawiona wzorem.
Woli on to fundować dla ſwoiey intraty,
Albo to mało co rok daie mu Zyd raty.
Z Kościoła mu zaś nigdy y ſzeląg nie przyidzie,
Chwała BOGU, że ſłuchać Mſzy do niego idzie.
Panowie u nas w Polſzcze niepomnią na piekło,
Nie dbaią, choćby podczas Mſzy na Xiędza ciekło.
Toć ſię iuż nie dziwować Xiędzu ubogiemu,
Y Panu przy budynkach ſwoich chędogiemu,
Bo ma Dzieci doroſte ma gdzie groſz obracać,
Niechce mu ſię pieniędzy na Kościoł utracać.

Chciałby

Chciałby dla nich po sobie zo-
stawić pamiątkę,
Aby każdy Syn, Corka mieli swo-
ią cząstkę.
Ale to w innych Farach są Xię-
ża bogaci,
Y ten y ow na Dzieci fortuny
nie traci.
Zony nie ma, nie robi nic, tyl-
ko ie, y piie.
Pieniądze w dziurze ściska, a po
Pańsku żyie.
Bo gdzieby ie podziewał, prze-
cie nie iest wołem,
By ie przeiadł, gdy mu się co-
dzień toczą kołem.
Wiem dobrze iaki dochod, kto-
rego Probostwa,
Nie powinno w Kosciele być ni-
gdy ubostwa.
Ma też gruntow zadosyć, na
ktorych się rodzi,
Dziesięcin co Rok kilka dobrych
mu przychodzi.
Proszę, gdzież te pieniądze za
zboża obraca?
Podobno ie na iakie budynki
utraca.

Alboteż do Kościoła co nowego ſprawi,
Chyba że ſię Dobrodziey iaki na to ziawi.
Tychciby to potrzeba doyźrzeć w Konſyſtorzu,
Jeſzcze ich nie ſparzyło podobno y razu.
Albo y Kanonicy, co Probоſtwa maią,
Ci tylko paraduią, pieniądze zbiiaią.
Drugi tylko ledwo raz do Roku przyiedzie,
Zayźrzy, iużci go nie maſz w krotce po obiedzie.
Ale że ſię y temu nie dziwować Panie,
Wiem, że waſze (iak moie) nie inſze ieſt zdanie.
Gdyby z Biſkupow ſwoich dobry przykład mieli.
Inaczeyby w Kościołach rządzić ſię umieli.
Ale że ſię y Xięża na nich zapatruią,
Że Karczmy, Auſterye, przy drogach buduią.

Nawet

Nawet w Dobrach Biſkupich
znaydą ſię Kościoły,
Ktorych ledwo rogami nie ro-
zwalą Woły.
Biſkup ſię po Warſzawie paradą
zabawia,
Kamienice ſkupuie, a Pałace ſta-
wia.
W ſwoiey Dyecezyi bardzo rza-
ko bywa,
Nie ieſt kłamſtwo, co mowię, ale
rzecz prawdziwa.
Z rzadka gdy ſię przeiedzie do
ktorego Klucza,
Gdzie mu Xiądz głowę ſuſzy,
ſłowami dokucza.
Umyka jak nayprędzey, wſtyd
go ſłuchać tego,
Niechce mu ſię poprawiać Ko-
ś ioła puſtego.
Poddani Dzieſięciny do Dworow
oddaią
Biſkupich, Xięża przez to krzy-
wdę wielką maią.
Choćby ktory Kościelney chciał
poprawić nędzy,
Zkądże weźmie, gdy nie maſz
w ſzkatule pieniędzy.

Moy

Moy Panie wieleby to mowić trzeba o tym,
Darmo ſobie głowę pſuć, a coż nam to potym.
Słucham pilno uważam, owego Kaczmarza,
Każde ſłowo (co powie) ucho me przeraża.
Tylko ſobie układam wſzyſtko w ſwoiey głowie,
Można mowić, iże ſię nie potebnie y w ſłowie.
Odpocząwſzy iuż dobrze, idę daley w drogę,
Chodzę y tu y owdzie pokąd tylko mogę.
Trafunkiem potykam ſię we Swięto z Furami,
Na popaſie pod laſem pomiędzy Gorami.
Pytam ſię, zdalekaście moi Ludzie mili,
Nie zdaleka moy Panie, będzie ztąd dwie mile.
Jakże wy uwieziecie takie kiie długie?
O moy Panie ieſzcze to będą dłużſze drugie.

A mu.

A muſiemy ie wozić, kiedy nąm rozkażą,
Nąbiiewą ſię koni każdziuſieńką razą.
Moi Ludzie dziś Swięto, grzech ieździć do laſa,
O moy Panie takać to ieſt nię-dola naſa.
Moi Chłopi wſzakże tu w Pol-ſzcze wolność wſzelka?
Coż po takiey wolności, kiedy bieda wielka.
Naſzym Panom to wolno być w piekle po uſzy,
Wyrządziwſzy na świecie dość Ludziom pokuſy.
U nas tu o wolności tylko ie-dna ſława,
Dla tego też ſpoczynku nikiedy nie mawa.
Wolność tylko u Panow, by Poddanych bili,
Aby na nich robili, ſami iedli, pili.
Dzień na dzień folgi nie maſz, Człowiek robić muſi,
Ledwo ſię koń w robocie cięż-kiey nie zaduſi.

Gdyby,

Gdyby to bydło mogło iako y
my gadać,
Miałoby o swey biedzie pewnie
co powiadać.
Gdyby u nich wolności tako-
wey nie było,
Przecieżby się poddanym cokol-
wiek ulżyło.
Czasem Człowiek nie może y
ruszyć rękami,
Wszystko iest wolno Panom, co
chcą robią z nami.
Gdybyście to ktory czas we Wsi
posiedzieli,
Dopierobyście nasze roskoszy wi-
dzieli.
Gonią, gniotą, nie mogą naieść
się roboty,
Musi Człowiek rad nie rad, choć
nie masz ochoty.
Noc cię wyżenie, noc z Pańskie-
go przyżenie,
Podstarości y Włodarz czynią u-
przykrzenie.
Dzień na dzień, że się przespać
Człowiek nie ma iako,
Nabiie się nie ieden a nie lada-
iako.

Moi

Moi Ludzie iakże śię waſz Je-
gomość zowie,
Niewiemyć tam moy Panie, kto
inſzy wam powie.
My go zawſze Krzywdzickim zo-
wiemy u śiebie,
Bogday taki Pan niebył ze Swię-
temi w Niebie.
Dla czegoż wy tak Pana bar-
dzo pomſtuiecie,
Bo nas we dnie y w nocy u ro-
boty gniecie.
Moi Ludzie źle życzyć nie go-
ezi śię Panu,
To wy za nim mowicie! por-
wan tam ſzatanu.
Nie mowię ia nic za nim, lecz
wam tylko ganię,
Dobrze życzyć bliźniemu każe
Przykazanie.
A on nam iako życzy, y na-
ſzey chudobie?
Godzien czego lepſzego żartu-
iecie ſobie.
Coż nam teraz po Boſkim takim
Przykazaniu,
Wſzak Pan bywa we Swięto za-
wſze na Kazaniu.

Jeſt

Jeſt uczony, wie dobrze, co tam napiſano,
Swięcić Swiętą Niedzielę zawſze przykazano.
A nam każe pod Swięto wyieżdzać do laſa,
Jegoć to ieſt ta wina zapewne nie naſza.
Gdybyć nam nic we Swięto robić nie kazali,
Myby ſię ſami na to ani odważali.
Jakże Panu ſwoiemu dobrze życzyć mogę.
Gdy Swięta nigdy nie mam; tylko z drogi w drogę.
A coż Pan dba, kiedy mu dobrze ſiedzieć w domu,
Nie wie iaka niewola z ludzi ſwoich komu.
Kiedy naywiękſze Swięto w drogę iechać trzeba,
Nie ma Człek w doma czaſu; zieść kawałka chleba:
Wielką podroż na Swięto Pan zawſze odkłada,
Aby mu dzień nie zginął, bardzo o to gada:

Nie

Nie raz ſię przytrafiło, iże ſieczkę rznięto,
Nie uważali na to, chociaż było Swięto.
Podobnieyby moy Panie w BOZE Narodzenie;
A nie ieſt y godziny dla ſtrożow ulżenie.
Muſi drwa rąbać, drugi w Kościele nie będzie,
Ten zwyczay miły Panie; ieſt ledwo nie wſzędzie:
Nie maſz to moi Ludzie Xięży przy Kościele?
By Panow napomnieli ó tak zbytkow wiele.
Ó Panie! coście teżto teraz powiedzieli;
Coż że ſą; ſamibyście oczyma widzieli.
Kiedy nawet y Xięża taki zwyczay maią;
Ze zbożem Fury na targ w Swięto wyſyłaią.
Panowie ſię też chytrzy na nich zapatruią;
Chocby drugi nie myślał; y przez to ſię pſuią.

Xiędzu ſię to przytrafi na Rok
ze dwa razy,
A od Panow ieſt zawſze dość
Boſkiey obrazy.
Xiądz drugi ledwo ſię ma kim
poſłużyć w domu,
Ale Pan w dzień powſzedni ma
rozkazać komu:
Tylko że to ieſt chytrość wiel-
ka naſzych Panow,
Mowi Podſtarościemu, tak mi Waść
poſtanow.
Niech Chłopi odprawuią podro-
że Swiętalne,
Niech też będą iako y w Sąſiedz-
ſtwie zwyczayne.
Podſtaroſci też drugi chcący ſię
przychlebić,
Niechce tego zwyczaiu w żadne
Swięto zchybić.
Jak weźmie charapnikiem Pod-
danego ćwiczyć,
Niepodobna ſię Chłopu z Pod-
ſtarościm chwycić.
Jak tylko raz wyiedzieſz, iużci
w zwyczay wnidzie,
Trzeba zawſze wyieżdzać, aże
na to przyidzie:
Sam

Sam ſię wniwecz obróciſz; bydło, y naczynie;
Czego nie ſtracę pewnie tego nie przyczynię:
Pan mi na to nic nie da, obuchem wygoni,
Chociaż mi pozdychaią; nie da innych koni.
Robiſz ciężko; nie lekko; a tylko na Pana;
Chwała BOGU ieſt ieſzcze na grzbiecie ſukmana.
Nadrżyſz ſię zawſze zimna; nie wyſpiſz ſię nigdy;
Już też y pies w pokoiu nie ma takiey krzywdy:
Żadnego miłoſierdzia; nie ma Pan nad tobą,
Chociaż Człowiek nie może czaſem ruſzyć ſobą.
Gdybyście wy wiedzieli, iacy to Panowie;
Już wam lepiey (iako ia) nikt o nich nie powie:
Przez chytrość y łakomſtwo nie tylko nas gubią,
Ale y Podſtarościow, że wſząd dobrze ſkubią.

Rachmi-

Rachmiſtrzow ſprowadzaią, ktō-
rzy ich nicuią.
Kiedy ſię za lat kilka im niē
wyrachuią.
Bierą bydło ӯ ſprzęty; zatrzy-
muią konie,
W kaydany go okuią; nie fol-
guią Zonie.
Y tego ӯ owego z zaſług wy-
kwituią;
Ledwo żyłki z drugiego ſługi
nie wypruią.
Rożne mu wynayduią przez tē
lata winy;
Chociaż tego niiakiey nie bę-
dzie przyczyny.
Zgoła Panie kochany źle ſię u
nas dzieie;
Ze ſię y Zyd niewierny z tē-
go zawſze śmieie.
Sprawiedliwości nie maſz; Pan
za Panem trzyma;
Jakobyście ſwoiemi widzieli ō-
czyma.
Nie mogę ſię ӯ zdziwić, cō mi
Chłop powiada;
Zal mi go, że na Pana ſwego
wielce biada.

Jak ſię nie ma mieć dobrze każdy Pan y Pani,
Gdy przedemną ſpiewaią, tak o nich Poddani.
Myślę ſobie, iak też to nie pomnią na duſze,
Aby ſię nie doſtały w piekielne katuſze.
Słuchaiąc ledwo mi ſię nie zawr. ca głowa,
Gdy ſerce przerażaią Ludzi nędznych ſłowa.
Już trochę ciekawości ſwey tracę ochotę,
Widząc taką w Polakach nad innych niecnotę.
Oczow mi iuż nie ſtaie patrzeć, ni pamięci,
Wielu rzeczy, Człowiek ſię tylko w ſercu ſmęci.
Nic ſię dobrze nie dzieie, iedno że źle wſzędzie,
Moy BOZE! iakiż z temi ludźmi koniec będzie?
Odchodzę tedy od fur, y od owych Ludzi,
Nic mi do tego, ale mię to barſdzo nudzi.

Nabie-

Nabieram przecie potym iuż ſerca lepſzego,
Chcący widzieć ieſzcze co w Polſzcze ciekawſzego.
Medytuiąc w ktorą ſię mam obrocić ſtronę,
Rzucaiąc okiem ſwoim w tę ſtronę y w onę.
Przeſzkadza mi w podroży kilkudniowa ſłota,
Ku końcowi Jeſieni wſzędzie dosyć błota.
Tu y owdzie odpocznę, widzę rzeczy rożne,
Ocięźały mi trochę iuż nogi podrożne.
Gdzie wſtąpię, to uważam wſzyſtko co ſię dzieie,
Czyli w Mieście czy na Wſi za kołnierz ſię leie.
Pytaią ſię zkąd idę, gadać mi ſię niechce,
Jednak niczyiey mowy nie poważam lekce.
W iednym mieyſcu mam wſzelką dla ſiebie wygodę,
Nie trudno mi o piwo, gorzałkę, y wodę.

W niektorym też zaś mieyſcu
Zydow widzę wiele,
Czałem ſobie pod głowę pięść
ſwoią podścielę.
Między Zydami widzę ſłużą Katolicy,
Czyli na Wſi, czyli to w Mieście w Kamienicy.
Dziwno mi, bawiąc w iednym
Miaſteczku przydłuży,
Patrzę u Katolika żaden Zyd
nie ſłuży.
Przypatruię ſię wſzędzie, gdzie
mieſzkaią Zydzi,
Czemu ſię tym Narodem Katolik nie brzydzi?
Baby im chuſty piorą, izby
zamiataią,
Chłopi ſię koło garcow w Swięto uwiiaią.
Chłop ſię Zydowi kłania, Zyd
nad nim przewodzi,
Czyli ſię Duchowieńſtwu tak pozwalać godzi?
Katolikow dość mało, Zydow
nad nich więcey;
W drugim Mieście będzie ich
do kilku tyſięcy.

Jakże

Jakże tu Katolicy Zydow zcierpieć mogą?
Wszędzie śmierdzi, gdzie tylko Człowiek ruszy nogą.
Nie mogę iuż wytrzymać, ciekawość mnie bierze,
Zostaiąc w Katolickiey także y ia Wierze.
Pytam się Mieszczanina w latach podeszłego,
Gdy nie mam dowiedzieć się sposobu innego.
Czemu tu Zydow więcey Katolikow mało,
Zkąd się ich miły Panie tak dużo nabrało?
Albo to nie iest wolno, co chcieć robić Panie,
Pomieszczą się tu Zydzi, Kalwini, Poganie.
Złodzieie, y prożniacy rożni, y Cygani,
Zmieszczą się z Cudzych Kraiow do Polski wygnani.
Wszystkich zaś pominąwszy, nayłepsi są Zydzi,
Xiędzom, Panom, ani się ktorzen niemi brzydzi.

W oli

Woli Xiądz zawſze Zyda, Katolika niźli,
Powiadaiąc, że to ſą wſzyſcy naſi bliźni.
Od Katolika mało ieſt zawſze intraty,
Wolą Xięża, Pan Zyda, bo im płaci raty.
Katolik ſię nie umie bawić wykrętami,
A zaś Xiądz, Pan prędzey ſię wda w ſekret z Zydami.
Jeſzcze ſię Pan wczaſuie, w łożku kiedy leży,
Jużci Zyd z głową cukru albo z kawą bieży.
Pan też temu bardzo rad, y z ochotą bierze,
Nie uważa na to nic, w iakiey kto ieſt Wierze.
By mu ſię dobrze wiedło, iednak Zyda kocha,
Bardziey niż Katolika, parchy iego wącha.
Zyd zazwyczay ſzalbierſtwem rad ſię zawſze bawi,
Katolik zaś ladaco przed ſwym Panem prawi.

Zawſze

Zawſze taki ieſt lepſzy, co łgać dobrze umie,
Człowiek zaś nie potrafi głupi na rozumie.
Miałby to z Katolika Pan taką wygodę?
Podobnoby mu dawał intratę za wodę.
Niektorzy Katolicy ztąd ſię też źle maią,
Ze ſię Zydom ſobakom oſzukiwać daią.
Zboże tanie, a trunek u Zyda ieſt drogi,
Kto ſię lubi napiiać, ſtanie ſię ubogi.
Drugi też piiąc na borg, Zyd mu przypiſuie,
Aleć ſię to u naſzych Chrześcian znayduie.
Zyd nie myśli tylko iak ma oſzukać kogo,
Ztąd ſię tedy opłacą Panu choć ich mnogo.
Gdyby Pan Zydow nie miał, bardzoby zubożał,
O Katolika nie dba, chociażby pogorzał.

Kazałby

Kazałby się Zydowi w tym mieyscu budować,
Dla swey większey intraty, y coż się dziwować.
Zyd ma z czego kupować Panu podarunki,
Nie trzeba im nic mowić, bo maią warunki.
Moy Panie, radbym ieszczè od was więcey wiedział,
Jakem się w tym tu Mieście cokolwiek zasiedział.
Widziałem Katolikow co u Zydow służą,
Od ktorych (doznałem się) krzywdę maią dużą.
Dla czego im Duchowni służyć pozwalaią,
Y Garcami we Swięto onym robić daią.
Albo Xiędzu podobna w każdym Domu patrzyć,
Może bespiecznie Palarz swą robotę zatrzyć.
Chociaż też y Xiądz drugi Zydow o to biie,
To Palarz w iaką dziurę przed Xiędzem się skryie.

Prawda

Prawda Xiędzom niektorym kozubalce daią,
Katolicy im ſłużyć przez to wolność maią.
Drugiby też zaś muſiał przy Browarze ſiedzieć,
Od piiakow mu ciężko tego ſię dowiedzieć.
Xiądz tego nie potrafi, ma ſwoy rozum Człowiek,
Wie dobrze, iże Pan BOG karze za cokolwiek.
Trudno też y Xiądz zawſze ma bić Katolika,
Toć ſię to y ſumnienia Xiężego nie tyka.
Wolno robić, co tylko komu ſię podoba,
Kiedy chce, niech go weźmie nieſzczęſna choroba.
Wſzyſtko mi ſię nie zdaie, co Mieſzczanin prawi,
Darmo ſię dyſkurſami prożnemi Człek bawi.
Nie mogę mu wynaleść na to odpowiedzi,
Niech iuż kto chce, iako chce, y u kogo ſiedzi.

Nie

Nie bawię się przy owym Miasteczku iuż dłużey,
Wychodzę w dalsze Kraie, pogoda mi służy.
Przybliżam się do swego co raz tedy domu,
Nie powiadam o sobie, zkąd iestem nikomu.
Trochę zimno, zimowy czas w krotce nadchodzi,
Rożnie się Człowiek swemi myślami uwodzi.
Pytam się do Krakowa gdzie przyidę o drogę,
Bywszy w Polszcze pierwszy raz, wiedzieć iey nie mogę.
Powiada mi nie ieden nie daleko Panie,
Siedm mil tylko, za dwa dni łatwo Waszeć stanie.
Idę nazaiutrz, lecz go widzę o dwie mili,
Przybywam na Przedmieście pod czas nocney chwili.
Spoczywam sobie u złych bardzo Gospodarzy,
Mąż z Zoną, a Czeladź zaś z oboygiem się swarzy.

Gospo-

Gospodyni nie trzeźwa, Gospodarz piiany,
Ledwo się od hałasu nieporuszą ściany.
Zbyt wielka między niemi dzieie się niezgoda,
Bogdayże nie Podrożnym ta była Gospoda.
Wywczasu Człowiek nie ma dla siebie podrożny,
Głowa boli, styszawszy ludzki hałas prożny.
Zona z iedney flaszeczki, a Mąż z drugiey piie,
A potym kiia wziąwszy, wszystkich w domu biie.
Wygania na ulice, sam tylko zostałe,
Y nademną przewodzi, przeklina, y łaie.
Nic się iuż nie odzywam, tylko cicho leżę,
Ledwo y sam za niemi z izby nie wybieżę.
Uspokoił się przecie Gospodarz piiany,
Zdrzymawszy się nie długo za stołem u ściany.

Dzień

Dzień się nie długo robi, bogday taką biedę,
Nie bawiąc się, do Miasta prostą drogą idę.
Wolny przystęp y wychod, chociaż Zołnierz stoi,
Cudzoziemski się Człowiek niczego nie boi.
Wchodzę w Rynek, a ten iest widzę bardzo śliczny,
Lud stroyny, bardzo piękny, znayduie się liczny,
Wszystko mi się podoba tak iak y w Warszawie,
W Kamienice, Pałace, iey się rowna prawie.
Ptaszego widzę mleka w tym Mieście nie staie,
Szczęśliwy Lud, kiedy im Pan BOG wszystko daie.
W każdym Kościele pięknie, y bardzo wesoło,
Gdziekolwiek się obrocę, okiem spoyźrzę w koło.
Piękne Miasto, z okolic są Baszty y Mury,
Nie może mieć niiakiey dla siebie censury.

Idę

Idę na Zamek, y tam ieſt co
widzieć wcale,
Forteca piękna, nie maſz Zoł-
nierza na Wale.
W Katedrze bardzo pięknie od
ſrebra, od złota,
Jeſt tu widzę nie mała Fun-
datorow cnota.
Nie mogę w owym Mieście ża-
dney rzeczy ganić,
Jeſt Krakow wcale piękny, in-
ne Miaſta za nic.
Wyidę z Kościoła, widzę Szlachtę
rożnych Ludzi,
Nie ieden ſię pod gorę na ow
Zamek trudzi.
Gdzie ſię pytam pewnego:
co! to tu za rada?
Zkąd ſię wſzczęła moy Człeku
między Szlachtą zwada?
Moi mili o coż ſię oni z ſobą
wadzą?
Alboż to kiedy ſobie Szlachta
pokoy dadzą.
Ichci to z wyczay zawſze kłocić
ſię y wadzić,
A potym ſię do Grodu na Są-
dy ſprowadzić.

Moi

Moi mili wſzak Szlachta powinni być w zgodzie,
Maią wolność dla ſiebie przy wielkiey ſwobodzie.
Oto Panie kochany, maią dosyć chleba,
Toć im ſię między ſobą zawſze kłocić trzeba.
Częſto ieden drugiemu co złego wyrządzi.
Tak zawſze rado bywa, gdy głowa pobłądzi.
Biią ſię y kaliczą, kiedy ſię popiią,
Ten temu zatrzymuie iaką Prowizyą.
Albo ieden drugiemu pożyczy pieniędzy,
Gdy go chce poratować przy iakowey nędzy.
Ten mu ſię według ſkryptu w ſwym ſłowie nie ſtawi,
Do tego ſię ku niemu nienawiścią bawi.
Ten temu za iaki dług Wieś ktorą zaiedzie,
Dla tey tedy przyczyny prędko Prawo będzie.

Jeden

Jeden drugiemu niechce wydać Poddanego,
Muſi tedy zażywać terminu Prawnego.
Szczerości między niemi nie znaydzieſz nikiedy,
Ten od tego częſtokroć dość ucierpi biedy.
Odbierze kawał grontu Sąſiad Sąſiadowi,
Muſi ſię z tym zawczaſu oświadczyć Sądowi.
Sami ſię przez to niſzczą wniwecz obracaią,
Jedni ſię ſię ztąd ubogo, drudzy dobrze maią.
Jeſt też y takich wiele, ktorzy Prawem żyią,
Szukaią okazyi, a czaſem ſię biią.
Wodzą ſię po ſwych Grodach, y do Trybunału,
Niechcąc oddać drugiemu ſummy Kapitału.
Kto mocnieyſzy to lepſzy, tak to zawſze bywa,
Kto po ſobie Sędziow ma, ten zawſze wygrywa.

Na

Na cóż ſię zda, gdy tylko Ju-
rystow bogacą;
BOG ſię pożal, że tylko Sub-
ſtancye tracą.
Stać Juryſtę każdego zawſze na
wykręty;
Z tego żyią; do Prawa dodaią
ponęty.
Idę z Zamku do Miaſta wyſłu-
chawſzy Człeka;
Co powiedział wziąwſzy go na
ſtronę zdaleka:
Chodzę ſobie po Rynku w o-
koło Ratuſza;
Patrzy na mnie nie ieden, ra-
mionami ruſza.
Z prędka poyźrzę, aż widzę nie
mało Zołnierzy;
Od iedney Kamienicy każdy z
torbą bieży.
Pytam ſię tedy Ludzi; co to
za Zołnierze?
Słyſzę, iże Dziadowie, zadumio-
ny wierzę:
Czegoż oni po Mieście tylą ku-
pą chodzą;
Czyli ſię w ktorym mieyſcu ſta-
ey Ludzie rodzą?

Nie

Nie rodzą śię moy Panie, lecz
kto śię zuboży,
Zyie sobie po Mieście z Opatrz-
ności Bożey.
Chodzą też ze Wśi do Wśi chle-
ba sobie proszą,
Dla tego takie torby zawsze z
sobą noszą.
Nie maią to Szpitala, żeby w
nim śiedzieli?
Pytacie śię, iakbyście o tym
nie wiedzieli.
Gdybym wiedział, tobym śię ni-
kogo nie pytał,
Anim też o tym w żadnym Ko-
ściele nie czytał.
Ja nie iestem tuteyszy, nie wiem
tu zwyczaiow,
Ponieważ tu przyszedłem z Cu-
dzoziemskich Kraiow.
Są też u nas ubodzy, lecz ich
nikt nie widzi,
By po Mieście chodzili, każdy
śię tym brzydzi.
Maią swoie Spitale, w ktorych
sami śiedzą,
BOGA chwalą, Biskupi zawsze
o nich wiedzą.

 Przez

Przewidziałem nie mało w całey Polſzcze drogi,
Nie mniemałem, by chodził po świecie ubogi.
A chociaż w rożnych mieyſcach widziałem nie mało,
To ſię inaczey o nich w moiey głowie zdało.
U nas chodzą ubodzy nie tak, lecz inaczy,
Jakże wiedzieć, żeby to Ludzie byli tacy.
Już ich teraz będę znał, będę o nich wiedział,
Kiedy mi Waſzeć prawdę o Dziadach powiedział.
Tak rozumiem, że każdy taki zwyczay zgani,
Ze ſię włoczą Dziadowie, iakoby Cygani.
Nie ieſt pięknie moy Panie łachtami potrząſać,
Możnaſz Dziadowi po Wſiach ze pſami ſię kąſać?
Y onym ſię oganiać dla kawałka chleba,
Jakże Panom y Xiędzom BOG przychyli Nieba.

Ponie-

Ponieważ ten ubogi może u
mrzeć z biedy,
Będąc mieć Katolicy za to od-
pust kiedy?
Gdy takowe nad niemi maią mi-
łosierdzie,
Nie masz tego w mym kraiu,
niechay kto chce iedzie.
To iest rzecz bardzo brzydka
Dziadowi się włoczyć,
Musi mu pewnie bieda nie ma-
ło dokuczyć.
Rozumiem, że nie ieden umie-
ra od głodu,
Musi to być koniecznie w Pol-
szcze bez dowodu.
Bo nie każdy Człek dobry, nie
każdy łaskawy,
Bardzo tu u was w Polszcze złe
są wszystkie sprawy.
Łakomych Ludzi dosyć może,
że się znaydzie,
Nie da nikt nic Dziadowi, gdy
do niego zaydzie.
Wiem, że przyidzie y w Mie-
ście do iednego Domu,
Drzwi zawarte, nie śmie się iuż
odezwać komu.

Do drugiego, trzeciego, dzieśią-
tego przyidzie,
Nic nie dadzą, nieborak gło-
dny z płaczem idzie.
Układzie się pod murem, y u-
mierać muśi,
Łatwo, gdy go głod wielki do
reszty dodusi.
Rozumiem, że się Zydzi z Ka-
tikow śmieią,
Gdyż oni swych ubogich sza-
nować umieią.
Nie włoczą się tak Zydzi ubo-
dzy po świecie,
Widziałem, ze Wsi do Wsi, to
ich wożą przecie.
Składaią się bogaci na nich po-
spolicie,
Nie błąka się Zydowskie z Ma-
tką swoie dziecie.
Wiara dobra iest u nas, lecz
nie dobre czyny,
Łatwo poydziem do piekła z ta-
kowey przyczyny.
Chociażby Pan iednego miał Pa-
na przy Dworze,
Wiem, że się na taki uczynek
wspomoże.

Na

Na Złodzieiow po Polſzcze pſow quidem chowaią,
Ktore do Wſi Dziadowi przyſtąpić nie daią.
Jaki taki Dziad, Baba na prozbę ſię puści,
Browary nawiedzaiąc, prędko ſię rozpuści.
Bo ſię Dziaduś napiie, zapomni o BOGU,
Leży iako nie żywy w browarze przy progu.
Zyd temu bardzo ieſt rad, dobrze mu ſię dzieie,
A z was ſię Katolikow iak poganin śmieie.
Co ſobie Dziad uproſi, do karczmy zanieſie,
Mąkę, Kaſzę, y Jayca, za co napiie ſię.
Jak Jałmużny nie ſtanie, wnet kogo okradnie,
Wybaczcie, lecz to dla was nie ieſt bardzo ładnie.
Ow też Człowiek dopiero te ſłowa powtarza,
Dobrze mowicie Panie, Dziadom nie pobłaża.

Wolność.

Wolność to temu winna, ta to wſzyſtko czyni,
Nie dba nikt o nikogo gdy ma groſze w Skrzyni.
Nie mowię nic na reſzcie na takowe ſłowa,
Ponieważ ſię onemu zdaie moia mowa.
Widziawſzy tedy w Polſzcze bardzo zły porządek,
W każdey ſprawie ledwo mię nie boli żołądek.
Udaię ſię z Krakowa za Polſkie Granice,
Więcey w Polſzcze przebywać, iuż ſobie nie życzę.
Idę, nic nie uważam, czyli row, czy gora,
Zwyczayna do podroży ieſt moia natura.
Przeprawiam ſię przez wodę, y przez rożne pola,
Nie dokucza mi żadna gościeńcem niewola.
Przychodzę w górne ſtrony pomiędzy Górale,
Trochę ſzczęście upadło, bo chleba omale.

Uwa-

Uważam, bardzo gruby Narod, lecz pobożny,
Z rzadka śię znaydzie w Polszcze Pan taki, choć możny.
Tu mi dopiero serca w tym Kraiu przyrasta,
Gdziekolwiek tylko przyidę, do Wsi czy do Miasta.
Nie bawię śię tu iednak, ciągnę w swoią stronę,
Nie uważam na nogi po Polszcze strudzone.
Przypomniawszy zaś sobie Polskie obyczaie,
Widząc wszystko, ledwo śię me serce nie kraie:
Myślę sobie, naygorsza ta iest cząstka Swiata,
Strawiłem życie moie, strawiłem swe lata.
Nie widziałem przy żadnym Kraiu takiey sprawy,
Jaka śię w Polszcze znaydzie, moy BOŻE łaskawy.
Tak mi te Dziady serce bardzo przeraziły,
Z złości wielkiey ledwo śię we mnie nie rwą żyły,

Nie

Nie maſz po co być w Polſzczę;
nie maſz czego chwalić,
Nie ieden ſię na biedę nie mo-
że wyżalić?
Ludzi dosyć dorodnych, ale nie
cnotliwych,
Wiem teraz, doznałem ſię bez
dowodow żywych.
Piiaków bardzo wiele, zbytek
nie ſłychany;
Czyli między proſtemi; czyli
między Pany.
Złodzieiów ieſt żadosyć; Szu-
bienice ſtoią;
Przecie kradną, kiedy chcą, ka-
ry ſię nie boią:
Bo iey nie maſz, prawda ieſt, że
ſą mądrzy Ludzie;
Coż potym, gdy bezbożni, a w
wielkiey obłudzie?
Poddanego Pan krzywdzi, a Pod-
dany Pana;
Boiaźni Bożey nie maſz, bo ieſt
u Szatana:
Gdzie weyźrzyſz, wſzędzie pię-
knie, Kray w wſzyſtko obfity;
Coż potym, gdy zaboyſtwa a-
że na trzy zbyty:

Kto

Kto mocnieyſzy, to lepſzy, kto umie oſzukać,
Ten dobry; gorſzych Kraiow nie potrzeba ſzukać.
Kościołow ieſt zadoſyć, nie maſz Boſkiey Chwały,
Nie ma, kto kogo karać, za złe kryminały.
Wolność wielka dla wſzyſtkich; coż po tey Wolności,
Kiedy między Panami nie maſz ſpokoyności.
Poddani na Dziedzicow ſwoich rzewno płaczą,
Niſzczą ich ſubſtancye na lada co tracą.
Y opiſać nie można; com widział po Polſzcze;
Doſyć na tym, że każdy Człowiek czyni co chce:
Ile włoſow znaydzie ſię na mey właſney głowie;
Tyle złego przy Polſzcze mowię w iednym ſłowie.
Pioraby mi nie ſtało; wſzyſtkiego opiſać;
Papieru na oſtatek; com mogł na kim wyſſać.

Wywiedzieć się, zobaczyć, y
przypatrzyć sprawie,
Stawam tylko w mym Kraiu na-
zwanym Morawie.
Niektore tylko rzeczy Przyia-
ciele mili,
Wam wyrażam tym czasem,
iakbyście tam byli.
Jeśli zdrowie posłuży, resztę
wam wyrażę,
Tak rozumiem, że dużo Pol-
szcze się narażę.
Ja iuż teraz w mym Domu
składam moie życie,
Dziękuiąc Panu BOGU za Ła-
skę sowicie.
Co się dzieie przy Polszcze,
niech się każdy dowie,
Wam y mnie na ostatku nie-
chay służy zdrowie.